

Ewa Pobłocka

MÓJ LUTOSŁAWSKI

Witolda Lutosławskiego widywałam wiele razy w Filharmonii Narodowej podczas koncertów, którymi dyrygował lub których bywał słuchaczem, a także w Studiu Radiowym S-1, które krótko po śmierci Kompozytora zostało nazwane Jego imieniem. Jednak prywatnie po raz pierwszy spotkaliśmy się w domu Państwa Lutosławskich na Warszawskim Żoliborzu wiosną 1990 roku, kiedy poprosiłam o wspólne wysłuchanie i komentarz „autorski” mojego nagrania *Koncertu fortepianowego*, który wykonałam pierwszy raz w Gdańsku pod batutą Jerzego Maksymiuka – to on mnie do tego wykonania przygotował (notabene przez telefon, dzwoniąc do mnie przez kilka miesięcy prawie codziennie z Glasgow, gdzie wtedy prowadził orkiestrę radiową). Zapamiętałam z owego wspólnie spędzonego popołudnia klimat domu, atmosferę pracowni, przestrzeń, obrazy na ścianach, niesłychaną serdeczność Gospodarzy i drzewo w ogrodzie, widoczne przez szeroko otwarte drzwi. Najpierw była krótka rozmowa na parterze, potem słuchanie w pracowni na piętrze.

We wstępie do katalogu wystawy *Lutoslawski. Homagium* Danuta Wróblewska pisze:

Dom Lutosławskich był taki, jakim było całe ich życie. W gruncie rzeczy skromny, ale ze śladami tych przyjaźni i upodobań, które były przewodnie. Ze wszystkich stron otwarty na dobrodziejstwa przyrody, z wyraźną obecnością książek, obrazów i paru starych mebli, które przypominały dwór w Drozdowie u początków życia. Zasady ładu i harmonii niezauważalnie łączyły czas, rzeczy i ludzi w jedność pokrewną muzycznej kompozycji. Każda rzecz miała swoje miejsce i swoją melodię...

Bo dom, pośród innych przeznaczeń, pozostawał także nienazwanym dziełem.¹

Julia Hartwig dodaje: „Dziś wydaję mi się, że dopiero wizyta w pracowni Lutosławskiego, po wielokrotnym pobycie w bawialnej części mieszkania, uzmysłowiła mi pełną harmonię tego domu, pełne poczucie symetrii między artystą, który zawsze jest inny od reszty i człowieka, który na co dzień tę odmienność stara się ukryć”.

Oczywiście od lat znałam muzykę Lutosławskiego. Już jako dziecko, kiedy leżąc pod fortepianem w oliwskim mieszkaniu moich rodziców, słuchałam pieśni do słów Tuwima, śpiewanych przez mamę, żywo reagując na rytm i harmonię. Próbowałam wyśpiewywać „trala-trala” pana Tralalińskiego i współczułam Pani Słowikowej, że wciąż czeka i czeka... Będąc uczennicą, a potem studentką w Gdańsku, przyjeżdżałam do stolicy na wybrane koncerty do Filharmonii Narodowej. Pamiętam jeden z nich, podczas którego wykonywano *Trois Poèmes d'Henri Michaux* (*Trzy poematy Henri Michaux*) na baryton, chór i orkiestrę. Do dziś mam w uchu tę muzykę. Jej spokój, harmonię, kolor, czas. Trochę trudniej było mi zrozumieć *Koncert na orkiestrę*, ponieważ przełomowy utwór w poszukiwaniach kompozytorskich Lutosławskiego.

„Co mnie frapuje w podejściu do komponowania; stałe poszukiwania własnych środków”.

O *Muzyce żalobnej*: „Usiłowałem stworzyć zespół środków, który stanie się moja własnością. I to jest właśnie pierwsze słowo wypowiedziane tym nowym dla mnie językiem. Prowadzenie dalszych poszukiwań uważam za rzecz konieczną, całkiem oczywistą” (cytuję za Bohdanem Pilarskim).

Spośród innych dzieł Lutosławskiego pamiętam oczywiście niesłychanie elektryzujący *Koncert na orkiestrę, Pięć pieśni do słów Kazimierzy Illakowiczówny* (miałam okazję wykonywać ten utwór wielokrotnie z Jadwigą Rappé i Ewą Podleś; z tą ostatnią także w formie nagrania na płytę *Treasury of Polish Songs*) oraz dużo później powstały cykl *Chantefleurs et Chantefables*, o którym Lutosławski sam mi kiedyś opowiadał, że najpierw miał w sobie muzykę, a do niej latami szukał tekstu.

Mimo że miałam okazję wysłuchać *Koncertu na orkiestrę* pod dyktando kompozytora wielokrotnie, podczas prób do naszych wspólnych koncertów, nie pojmowałam tego utworu. Inaczej było z *III Symfonią*, która była wykonywana w drugiej części wieczoru – po koncercie fortepianowym. Często wpadałam w ostatniej chwili na salę koncertową, jeszcze w długiej sukni, nie zdążywszy się przebrać. Kompozytor dyrygował bardzo klarownie, dość oszczędnym ruchem, nigdy, ani przez chwilę nie robiąc dyrygenckiego „show”. Skupiony był tylko na muzyce, na realizowaniu swojej partytury. Podobnie było, kiedy graliśmy razem – kontrolował, słuchał. Zawsze życzliwie nastawiony do orkiestry, był jednak wymagający. Miałam szczęście wystąpić z Mistrzem (nie lubił tego określenia) na wielu koncertach w Polsce i za granicą oraz dokonać wspólnego nagrania *Koncertu fortepianowego* na płytę. Oprócz tych chwil na estradzie, wśród muzyków, czy za kulisami, gdzie czasem

dyskutowaliśmy o szczegółach, mogłam spędzać czas z Witoldem Lutosławskim i jego żoną Danutą również w podróży i podczas wolnych od prób godzin. Takie „wolne” niespodziewanie spadło nam z nieba we Florencji któregoś grudniowego dnia, kiedy to orkiestra słynnego festiwalu Maggio Musicale Fiorentino zastrajkowała z powodu niedogrzejanej sali! Lutosławski uśmiechnął się tylko dobrotliwie, nie komentując, i wcześniej wyszliśmy „w miasto”. Na obiady chadzało się do dobrych małych restauracji, a najważniejszym daniem był deser. W samolocie Państwo Lutosławscy zakładali bawełniane rękawiczki – wyrażając zdziwienie faktem, że ja się boję latać – i oddawali się lekturze gazet.

Jednym z utworów, do których często powracam, jest *IV Symfonia*. Ostatnia tego typu forma w twórczości kompozytora, napisana pod koniec życia. Oczywiście nie może być mowy o tonalności tej muzyki, jednak ja zawsze słyszę ją w c-moll. Ze względu na jej charakter i nastrój jest ona dla mnie wręcz tragiczna.

Doskonale pamiętam nasz wspólny pierwszy koncert – odbywał się w Filharmonii Śląskiej. Niestety nagranie z tego wieczoru nie nadawało się do żadnej publikacji, ponieważ słychać na nim pewne zakłócenia. Otóż w czasie koncertu, wieczorem, na podwórzu Filharmonii zrzucano węgiel... Szelest i szum przeszkadzały w odbiorze i słychać je na nagraniu... Pamiętam swoje myśli przed koncertem: „Żeby tylko nie zepsuć tego utworu, żeby nie rozczarować kompozytora”. Lutosławski, jak zawsze w granatowym fraku z aksamitnym kołnierzem i takimi właśnie mankietami, wydawał się za kulisami pogodny i zupełnie spokojny. Potrzebowałam dłuższej chwili, żeby – zgodnie ze swoim zwyczajem – przed wyjściem uszczypnąć dyrygenta w ramię. Na szczęście tylko się na to uśmiechnął, no i wyszliśmy na estradę. Sala pełna, fortepian świetnie przygotowany, orkiestra czujna... I w końcu popłynęła muzyka. Grałam Lutosławskiego, ale pozostawałam sobą. Potem wiele razy wykonywałam ten koncert również z innymi dyrygentami. Dokonałam w sumie trzech rejestracji płytowych (dwie doczekały się nagród fonograficznych, a ostatnia ukazała się późną wiosną tego roku). Utwór zawsze spotykał się ze znakomitym odbiorem słuchaczy i świetnym przyjęciem. Najbardziej chyba zapamiętałam wykonania w Salonikach i w Madrycie. Podczas tych koncertów miałam wrażenie, że prowadzę słuchaczy w inny świat.

Po śmierci Lutosławskiego ukazało się wiele publikacji. Na świat wydobyto materiały wcześniej niedrukowane. Na przykład *Postscriptum* i *Zapiski*. Wszystko to studiowałam, mam w swojej pracowni. Jednak najczęściej wracam do katalogu wystawy *Lutosławski. Homagium*, która odbyła się w Galerii Kordegarda w Warszawie, na przełomie września i października 1996 roku. Na okładce tego katalogu widnieje drzewo z ogrodu Państwa Lutosławskich, a w środku można zobaczyć reprodukcje obrazów, które wisiały w ich domu oraz fotografie samego mieszkania. Zawsze największe wrażenie robił na mnie obraz Jerzego Stajudy *Strefa*.

Kiedy Witoldowi Lutosławskiemu przedstawiony był Jerzy Stajuda, obydwaj panowie uklękli naprzeciw siebie pośrodku Filharmonii Narodowej. Nie sądzę, aby te mury były świadkami drugiego tego rodzaju hołdu złożonego osobie przez osobę, artyście przez artystę, sztuce przez inną sztukę. Sytuacja sprzed kilkunastu lat nabiera wymowy pięknego symbolu. Oto przyjaźń i porozumienie ludzi wielkich. W czasach, kiedy żyje się i tworzy w pojedynkę, grupy i środowiska zawodowe dzieli podobne oddalenie. Współlistnienie staje się okolicznością zapomnianą. Wyścig wykluczył wymianę przyjaźni. O romantycznej syntezie sztuk mówią tylko książki.

Patrzyłam na obraz Stajudy, gdy wisiał w domu na Żoliborzu, potem w trakcie trwania wystawy, teraz mam jego reprodukcję w katalogu i nieodmienne wrażenie, że ten obraz jest jak muzyka Lutosławskiego: krystalicznie czysty, pełen przestrzeni i przejmujący swoją „przezroczystością”. Trudno go opowiedzieć, a jednak chętnie do niego powracam. Jest niebieski, lekko rozmyty, można się w nim dopatrywać drzew, odbić w wodzie, blasku ukrytego światła. Jest w nim spokój, ale również ukryta energia, symetria i swoboda, oddech anioła.

Tak właśnie widzę muzykę Lutosławskiego. Widzę ją błękitną...

PRZYPIS

1 *Lutosławski. Homagium. Wrzesień–październik 1996*, red. kat. M. Guzowska, tł. J. Holzman, Warszawa 1996. Wszystkie pozostałe cytaty z tego źródła.

15 X 2013